

Ktoś, kto nie lubi, jak mu się streszcza filmy, nie powinien tego czytać. Mnie samego tzw. spoilerowanie drażni. Zarazem jednak zamknięcie podlaskiego cyklu filmem „U Pana Boga w Królowym Moście” wydaje mi się tematem ważnym, i to nie tylko w wymiarze artystycznym. W sposób paradoksalny mówi nam ono coś o społecznym klimacie w dzisiejszej Polsce.

Opowieść o podlaskiej duszy

Na wstępie dwa zastrzeżenia. Pierwsze: lubię filmy Jacka Bromskiego. Były wieloletni prezes Stowarzyszenia Filmowców Polskich to od początku swojej artystycznej drogi bardzo sprawny rzemieślnik, ale przecież także ktoś więcej. Postawił na kino popularne, nie zdaje permanentnego egzaminu z twórczego wyrafinowania, ze sprzedawania stanów swojej duszy. Woli opowiadać ludziom zajmujące historie. Przy okazji zdaje nieraz inny egzamin: z ludzkiej empatii.

Nie każdy jego film przekonywał mnie jednakowo. „Anatomia zła” razila mnie próbą budowania dość przewidywalnych diagnoz poprzez chybionego bohatera, zawodowego mordercę. Ale większość była trafiona. „Bilet na Księżyc” to jedna z lepszych powiastek, może nawet przypowieść o młodych ludziach w samym środku prząsnętego komunizmu (schyłek ery Gomułki). „Kuchnia polska” to inny udany obrazek polityczno-obyczajowy z dziejów PRL. „Dzieci i ryby” – smakowity zbiorowy portret współczesnych kobiet. „Uwikłanie” – sugestywne kino kryminalno-rozrachunkowe, adaptacja dobrej powieści Zygmunta Miłoszewskiego. Bromski często brał się za najnowszą historię. Umiał o niej ciekawie rozprawiać, bez zbędnego patosu, ale z rozeznaniami, gdzie dobro, a gdzie zło. Z kolei „Solid Gold” uwikłało go w konflikt z TVP Jacka Kurskiego, a przecież potwierdzało wizję esbecko-mafijnego układu.

I teraz zastrzeżenie drugie. Na tle tego dorobku (który przedstawiłem niekompletnie) coś, co nazywa się cyklem podlaskim Bromskiego, świeci szczególnym blaskiem. „U Pana Boga za piecem” zaskakiwał w roku 1998 wyborem realiów i bohaterów. Czy można sobie wyobrazić inny film, w którym głównym bohaterem, ba, narratorem, swoistym komentatorem zdarzeń, byłby prowincjonalny proboszcz? To ksiądz Antoni, grany na dołkadek znakomicie, z flegmatycznym humorem, przez muzyka z teatru lalkowego w Białymstoku Krzysztofa Dziermę.

Prosta, sensacyjna intryga, odgrywana w dużej mierze przez nieznaną aktorów z Podlasia, służyła najbardziej elementarnym wzruszeniom. Momentem, kiedy widzowi robi się ciepło na duszy. Drugi obok księdza główny bohater, jego podopieczny, młody muzyk, grany przez jedynego w tym filmie celebrytę z Warszawy Jana Wieczorkowskiego, waha się co do swoich dalszych losów. Kiedy podejmuje, także z powodu kobiety, decyzję o pozostaniu w rodzinnym Królowym Moście, proboszcz rzuca śpiewnym akcentem prostą konkluzję: „Tu jest twój dom”.

Kolejne dwie części to „U Pana Boga w ogródku” (2007) i „U Pana Boga za miedzą” (2009). Także i w nich mamy dość pretekstowe afery „kryminalne”. W pierwszej do Królowego Mostu zostaje sprowadzony świadek koronny Jerzy Bocian, w ślad za którym przybywają szukający zemsty bandyci. W drugiej lokalna kampania wyborcza na urząd bur-

mistrza staje się dla kolejnych gangsterów (w tym czarnego charakteru z części pierwszej) okazją do ingerencji w spokojne życie mieszkańców tego zakątka. Rozbudowie uległ w związku z tym wątek tamtejszych policjantów. Doszli nowi aktorzy, w tym takie gwiazdy jak Emilian Kamiński (Bocian, zostający w finale trzeciej części burmistrzem) czy Wojciech Solarz (nieporadny policjant Cielecki). Nadal jednak królowali: Krzysztof Dzierma (ksiądz Antoni) oraz lalkowy, potem także filmowy aktor Andrzej Zaborski (komendant policji).

Mieliśmy powikłania miłosne i starcia między bohaterami. I sporo scen zmuszających nas do beztróskiego śmiechu. Nadal myślą przewodnią była apologia prostych wartości i ludzkiej życzliwości, które zostały się na Podlasiu. Wciąż ogromną rolę odgrywał patronat księdza Antoniego mediującego, rozsądającego spory, wydającego werdykty, także i moralne. No i namiętnie filozofującego na temat natury świata. Kiedy dwa lata temu byłem gościem festiwalu filmowego w Tykocinie, gdzie kręcono niektóre sceny wszystkich części, coś z tej podlaskiej aury odnalazłem. Bromski zmienił ją w żywy mit.

Starannie unikał politycznych wątków. Kampania burmistrzowska była tu starciem charakterów, a nie ideowych programów. Ale nie przeszkadzały mu tradycyjne odruchy i nauki proboszcza. W związku z tym podejrzewano reżysera o kokietowanie zwolenników konserwatywnej wizji świata. Sprzyjały temu także fabuły niektórych innych jego dzieł. „Uwikłanie” z 2011 r. miało na przykład zdecydowanie antykomunistyczną wymowę. Sam Bromski jako prezes Stowarzyszenia Filmowców Polskich protestował czasem wobec pisowskiej władzy w imieniu środowiska, ale też umiał i chciał się z nią układać.

Uroki i demony prowincji

Te jego filmy miały gigantyczną i z pewnością „ponadpartyjną” publiczność, trochę to podobne zjawisko jak trylogia Sylwestra Chęcińskiego otwarta filmem „Sami swoi” czy jak cykl kolejnych „Kogli mogli”. Miarą ich popularności stały się systematyczne powtórki telewizyjne. Doczekały się zresztą serialowych wersji. Dla Polaków były kochanym przez nich małym realizmem, czymś „bliskim życiu”.

Ta popularność to oczywiście wielki atut reżysera, kiedy po latach wrócił do tematu. Zaczniemy od tego, że niezależnie od politycznej powściągliwości, Bromski postawił na afirmację prowincji. Nie był tu jedyny. Wystarczy przypomnieć innego mistrza popularnych produkcji Wojciecha Adamczyka z jego serialem „Ranczo”.

Tam również jedną z centralnych postaci jest ksiądz, generalnie pozytywny, choć podlegający rozmaitym reedukacjom. Chociaż wieś Wilkowyje zmagają się z plagami i patologiami, pijaństwem, nierobstwem, przemocą wobec kobiet, to jednak dzielnie się rozprawia z własnymi słabościami. Zarazem jej mieszkańcy, także ci śmieszni i groteskowi, bywają wielkoduszni, bezinteresowni, życzliwi.

Ogólny ton polskiego kina jest jednak zwykle odmienny. Gdy przypomnieć produkcje takich reżyserów jak Wojciech Smarzowski, Dorota Kędzierzawska, Małgorzata Szumowska czy ostatnio Agnieszka Holland („Pokot”), a to tylko przykłady, malują oni polską prowincję barwami jak najmocniej ciemnymi, przedstawiają jako przestrzeń duszną i pełną uprzedzeń. W wielu przypadkach jest to

dogodny temat także dlatego, że prowincjuszy najłatwiej piętnować za tradycyjne wady i „wady” polskości. Od konserwatywności obyczajowej i „zabobonnego” katolicyzmu po niechęć do wszelkich innowacji czy bezduszność wobec przyrody.

Twórcy mniej utalentowani bywają w tym jeszcze bardziej zapamiętali. W filmie „Czarny” Dominika Matwiejczyka (rok 2008) główny bohater grany przez Michała Żurawskiego trafia do swojej rodzinnej miejscowości jak do piekła. Tamtejsi mężczyźni zajmują się głównie chlaniem i biciem żon, a rodzice pewnej dziewczyny poddają ją egzorcyzmom, żeby wygnać z niej złe skłonności. To nagromadzenie okropności zmienia się w pewnym momencie w coś w rodzaju autoparodii.

Czy ten obraz nie ma jednak niczego wspólnego z rzeczywistością? Ależ przynajmniej miewa – prowincja to także

tego przez tych zapyziałych rednecków, od których mieszcuchy ze wschodniego czy zachodniego wybrzeża chciałyby się trzymać jak najdalej.

W stronę political fiction

No więc Bromski postawił na polski Teksas, czyli Podlasie. Dostrzegł tam wiele ciepła pod toporną powłoką. Można się było spodziewać, że po tylu latach przerwy pokaże nam tę małą ojczyznę jego bohaterów zmienioną, poddaną różnym nowym procesom.

Świat idzie do przodu, o czym sam się przekonałem – jako gość bardzo atrakcyjnie zorganizowanego festiwalu w Ty-

U JACKA BROMSKIEGO ZA GRANICĄ

PIOTR ZAREMBA

Reżyser podejrzewany przez lata o flirt z konserwatystami kończy jako rzecznik luźnego podejścia do spistości naszej narodowej wspólnoty.

specyficzne duszności, patologie. Spierałem się kiedyś z pewnym pisarzem o ortodoksyjnie prawicowych poglądach, który film „Wesele” Smarzowskiego, oferujący nam karykaturę polskiej wsi, opisał jako „antypolski”. Spytałem go, czy zatem Mikołaj Gogol od „Martwych dusz” i „Revizora” był antyrosyjski. Bo to on chłostał swoją prowincję – niewątpliwie „jednostronnie” i z wielkim talentem. Takie założenie to oczywiście nonsens.

Jednak gdy ta smoliście czarna jednostronność staje się schematem, mamy poczucie, że obraz świata zawęża nam się zamiast poszerzać. Nie jest to specyfika wyłącznie polska. Ktoś niedawno spytał w internecie, o czym jest tak naprawdę kultury amerykański horror „Teksaska masakra piłą mechaniczną”, film Tobe’a Hoppera z 1974 r. Poza wszystkimi gatunkowymi smaczkami w sumie dość obrzydliwymi, to wyraz traumy, panicznego lęku właśnie przed prowincją. I to taką najstraszliwszą, bo z regionu zamieszka-

kocinie (jego gościem był także Jacek Bromski). Jednym z jego organizatorów był pewien rzutki podlaski ksiądz, sprawny organizator i biznesmen. Spodziewałem się spotkać kogoś w typie proboszcza z filmów Bromskiego. Zobaczyłem eleganckiego mężczyznę w cywilnym ubraniu otoczonego wianuszkami kobiet. W rok później duchowny zrzucił sutannę. Dziś jest już tylko człowiekiem interesu. Dlatego spodziewałem się świadectwa obyczajowego i światopoglądowego zamętu w kolejnym filmie. Ten zamęt dotyka także świat Kościoła, również na Podlasiu.

Kręcąc „U Pana Boga w Królowym Moście”, Bromski sięgnął jednak po zupełnie nową formę: political fiction. Oto młoda archeolożka Marta Lipowska, wysłana w celu poszukiwań w podziemiach kościoła w Królowym Moście, znajduje w nich dokument. Król Jan Kazimierz nadał w XVII wieku okolicom tej miejscowości państwową samodzielność.

Jest to kompletnie nieprawdopodobne – król nie mógłby tego zrobić bez Sejmu i nie znamy z historii żadnego takiego przypadku. Ale oczywiście mamy do czynienia z bajką.

Dalej pojawiają się kolejne nieprawdopodobieństwa. Zupełnie nieoczekiwanie zamiast potraktować dokument jako ciekawy zabytek, cała lokalna elita, a w ślad za nią ogromna większość mieszkańców, uznaje wizję niepodległości małego terytorium od Polski za atrakcyjną. Zostaje przeprowadzone w zawrotnym tempie referendum. Rada miejska staje się parlamentem, a kilku lokalnych urzędników tytułuje się „ministrami”. Na granicy powiatu miejscowi policjanci zatrzymują kierowców, żądając opłat za wizy.

Pomysł nie jest całkiem nowy. W 1949 r. Henry Cornellius nakręcił brytyjski film „Paszport do Pimlico”. Oto w jednej

Małgorzata Sikorska-Miszczuk). Mnożenie incydentów między podlaskim powiatem i „resztą Polski” pokazywane jest w konwencji wolnościowej krucjaty, za to mało w tym humoru znanego z poprzednich części. Wszyscy obywatele Królowego Mostu są zjednoczeni, co niweluje wszelkie konflikty. W efekcie postaci stają się jednowymiarowe.

Cudowny Emilian Kamiński, skądinąd podczas filmu już śmiertelnie chory, jako burmistrz Bocian pozostaje plakatowym symbolem secesji, a nie ciekawą postacią, jak wcześniej. Z kolei Solarz jako Cielęcki ma niewiele do grania. Książki czy komendantki wygłaszają długie, ale puste tyrady. Jedyną dygresją jest historia uczucia między miejscowym prawnikiem rady miejskiej Giedroyciem, granym przez Karola Dziubę, i przyjeźdną archeolożką (Aleksandra Grabowska).

krety nie padają. Książka narzeka, że wszędzie się klóca, ktoś inny chce zakazywać hejtu w internecie. Tyle.

Nie przekonało to skądinąd recenzentów liberalnych. Na Filmwebie Michał Piepiórka narzeka nieufnie na absurd buntu w imię patriarchalno-ksenofobicznej tradycji. Nic na to jednak nie wskazuje, to tylko przeczulenie kogoś poprawnego politycznie plus odruch wyniesiony z poprzednich części.

Ta rewolucja nie ma właściwie barwy. Z czasem dostaje nawet własne feministyczne skrzydło. To skądinąd fragment szczególnie nafaszzerowany ideologicznym bełkotem. Z kolei proboszcz skonfrontowany z niewiarą archeolożki Marty staje się nagle niezłomnym krytykiem biskupów mówiącym językiem „Tygodnika Powszechnego” i „Więzi”. W poprzednich filmach było widać, że jest kapłanem

Aktorzy zapewniali mnie, że więcej dowiem się z 12-odcinkowego serialu. Możliwe, że tam będą też wyczekiwane przeze mnie dygresje i konflikty charakterów.

Bromski kręcił to podczas rządów PiS. Możliwe, że to jego protest wobec tych rządów, a trochę i wobec polaryzacji czy marnej jakości polskiej polityki w ogóle. Czy jednak w dobie wojny za naszą granicą taka pochwała radzenia sobie i odwrócenia się od Polski nie trąci nihilizmem?

Czy reżyser chce nam powiedzieć, że patriotyzm polski to coś anachronicznego? Że liczą się jako ostoje jedynie małe wspólnoty? Które skądinąd zaczynają nabrzmiewać dawnymi grzechami. A to proboszcz narzeka na początki kultu komendanta okadzanego przez podwładnych, a to szkolne hymny na cześć Królowego Mostu zaczynają mu się kojarzyć z... nacjonalizmem. Tyle że film się kończy. Fikcja nowej państwowości nie zdążyła poważniej skompromitować.

Oczywiście można wszystko to obrócić w żart. W takim razie on powinien być zabawniejszy, przynajmniej tyle. W „Paszporcie do Pimlico” padają w pewnym momencie pyszne słowa. Jedną z postaci mówi: „Właśnie dlatego, że jesteśmy Anglikami, możemy być Burgundczykami”. To sprowadzona do absurdu pochwała angielskiego indywidualizmu, powiązana na dokładkę z angielskim poczuciem humoru. Bromski nie wpada na żaden pomysł, jak chociaż trochę uzgodnić tożsamość podlaską czy „królowomostową” z tożsamością polską. Przyznam, że mnie to zmartwiło.

Co dalej z cyklem?

Reżyser pokazał za to w krzywym zwierciadle polską kuchnię polityczną. Z rozlicznymi błędami dotyczącymi procedur i realiów, ale te można naturalnie potraktować bajkowo. Opozycja (domyślamy się w niej Koalicji Obywatelskiej) popiera pomysł przebudowy polskiego ustroju na federalny, po to, aby wygrać wybory w zachodniej części Polski. Bo ten temat pojawił się przy okazji secesji kawałka Podlasia. Z kolei rządowa większość (PiS) pomaga jej w tym, bo chce ją skompromitować przed wyborcami.

Jest to naciągane, naiwne, ale jakoś tam oddaje naturę polskiej polityki. – Dla głosów chcecie rozbić Polskę? – pyta jedna z polityczek opozycyjnego klubu swoich kolegów. Tyle że choć Bromski nie wierzy w dobre intencje portretowanych polityków, to zarazem w samym „rozbięciu Polski” nie widzi dramatu. Nie tylko w oderwaniu się Królowego Mostu. Także w podziale całego naszego państwa na dzielnice. Ba, w perspektywie jej rozpadu na dwie części.

Tak oto podejrzwany przez lata o flirt z konserwatystami Jacek Bromski kończy jako rzecznik luźnego podejścia do spistości naszej wspólnoty. To zbieg okoliczności podyktowany szukaniem oryginalnego fabularnego pomysłu? A może naturalna konsekwencja zmian, jakie zachodzą w głowach polskich elit? Ciekawia mnie tylko jeszcze dwie rzeczy.

Po pierwsze, czy doczekamy się opowieści o Królowym Moście uwolnionym już definitywnie, a szczęśliwie od polskiego garbu? I po drugie, na ile ta perspektywa spodoba się prawdziwym, a nie filmowym mieszkańcom Podlasia, które wciąż pozostaje regionem nie tylko względnie konserwatywnym, ale i szczególnie mocno przywiązanym do patriotyzmu. Do patriotyzmu jednak polskiego. /©



Do prób uniezależnienia od Polski tytułowego Królowego Mostu prowadzi odkrycie dokonane przez młodą archeolożkę. W tej roli **Aleksandra Grabowska**; obok niej Książka Antoni grany przez **Krzysztofa Dziermę**

z dzielnic Londynu też odnaleziono dokument, który ma świadczyć o tym, że należy ona do... Burgundii. To księstwo już nie istnieje, ale mieszkańcy ogłaszają niepodległość. Też tworzą swój „rząd”, próbując zorganizować raj podatkowy, za to na granicy pobiera cła. Nie twierdzą, że Bromski to skopiował, w przestrzeni fabuły wręcz nie da się wpaść na pomysł niewykorzystany przez nikogo. Ale warto wiedzieć: to już było. Są i różnice. Bunt Pimlico ma przywrócić godność ludziom biednym, przekonanim, że władze traktują ich jako obywateli drugiej kategorii. W przypadku mieszkańców Królowego Mostu bąkają oni coś o tym, że warto by zatrzymać podatki odprowadzane do centrali. Ale irracjonalna niemal agresja wobec polskiego rządu jest słabo wytlumaczona. Wszystko dzieje się na zasadzie deus ex machina.

Co gorsza, jednostronność tematu odbija się na dramaturgii filmu (choć współautorką scenariusza jest dramatopisarka

Niestety, to historia jednowymiarowa i błada.

A gdzie w tym Polska?

W Pimlico mieliśmy różne motywacje i kalkulacje, a wszystko pokazywano nam w konwencji groteski. Bromski potraktował temat chyba zbyt serio i od razu wystąpił w roli kibica swoich bohaterów. Skoro jednak zabrał się do polityki, można go spytać, co tak naprawdę chciał nam powiedzieć, do czego wezwać, jakie przesłanie zostawić. Proboszcz mówi coś o zachowaniu w nowym odrębnym państewku deptanej wszędzie tradycji. Byłoby zabawne, gdyby secesja miała jednoznacznie konserwatywne zabarwienie, zwłaszcza że z obrazków sejmowo-rządowych wynika, iż rzecz dzieje się jeszcze za poprzedniej władzy. Tyle że żadne kon-

nietypowym. Ale nie był kapłanem zbuntowanym. Teraz można sądzić, że Bromski chce zatrzeć wrażenie, jakoby był kiedyś łagodnym sympatykiem tradycyjnej Polski.

Może ktoś powiedzieć, że niepotrzebnie tak się dopytuję o aksjologiczne podstawy czegoś, co jest tylko zabawą. Rzecz w tym, że to zabawa mało zabawna. Mam więc prawo potraktować ją całkiem serio. A jeśli tak, mogę spytać, w imię czego pokazuje nam się pozytywnie proces swoistego wypisywania się z Polski. W pewnym momencie jedna z postaci pyta o to księdza. A on odpowiada ogólnikami.

Opowieść urywa się stosunkowo wcześnie. Owszem, do Królowego Mostu zgłasza się chiński dyplomata z ofertą współpracy i inwestycji, co skądinąd powinno osłabić nasz entuzjazm wobec buntowników. Ale tak naprawdę konfrontacja Polski z Królowym Mostem dopiero się zaczyna. Nie wiemy, co z niej wyniknie.